№ 44.

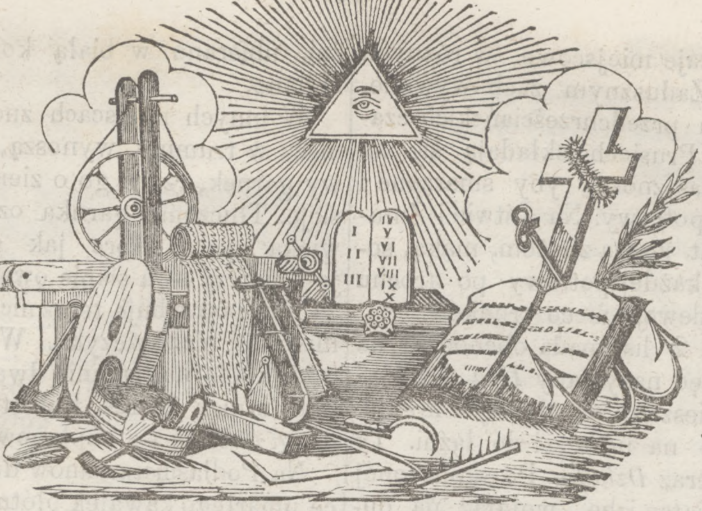
Warszawa

Dnia 21 Października (2 Listopada)

1856.

Niedziela

25ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Odpuść, prosimy Panie! występki ludu Twego, abyśmy od więzów grzechowych, któreśmy przez słabość naszą zaciągnęli, za Twojem miłosierdziem wybawieni byli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 25 po Świątkach).

Dzień Zaduszny.

Dzień Zaduszny, jest to dzień poświęcony przez Kościół na modlitwy za dusze wszystkich wiernych zmarłych, w czyscu zostających. Nabożeństwo to przypada dnia 2 listopada. Zwyczaj modlenia się za umarłych od początku kościoła chrześciańskiego był zachowywanym, znano go i w starym zakonie, ale nie było na to oddzielnego dnia wyznaczonego. Dopiero w końcu 10 wieku, naprzód w klasztorach Kluniackiego zakonu dzień 2 listop. na powyższy cel obrano,— zkąd zwyczaj ten rozszedł się po całem chrześciaństwie. Te modły za umarłych wyobrażają nam związek trzech kościołów: *wojującego* t. j. chrześcian tu na ziemi żyjących, *cierpiącego*, t. j. dusz w czyscu zostających i *tryumfującego* t. j. wybranych i świętych w niebie. Bo w dniu rzeczonym, wierni oddawszy na ziemi cześć Bogu za szczęście, jakiego święci w niebie doznają, błagają Boga przez wstawiennictwo tychże świętych, za dusze w czyscu cierpiące.

—Nabożeństwo za umarłych zaczyna *Jutrznia* żałobna, *exekwiami* zwana— potem idzie msza i nauka odpowiednia. Następuje zaraz żałobna processya ze stacyami w kościele lub na cmentarzu: na pierwszéj stacyi odprawiają się modlitwy za dusze kapłanów— na drugiéj za rodziców, na trzeciéj za dobrodziejów, a na czwartéj za dusze zmarłych, na miejscowym cmentarzu pochowanych, poczem już w kościele przy katafalku za dusze wszystkich zmarłych. Katafalk jest tu wyobrażeniem grobu. Lubo dzień Zaduszny nie jest świątecznym, kościół jednak pragnie, aby wierni w tym dniu w świątyniach pańskich na nabożeństwie znajdowali się i modlili, a modlitwy swoje jałmużną wzmacniali, gdyż jak mówi pismo Ś. (Tob. 12, 8, 9) *modlitwa z postem i jałmużną większą jest nad skarby złota;— jałmużna od śmierci wybawia, grzechy oczyszcza, jedna miłosierdzie i żywot wieczny.*

Dlatego wierni zwykli w dniu tym różne ofiary na szpitale i ubogich w kościele składać,— pomnąc, iż kto zapomina umarłych, staje się obojętnym dla żywych.

Ciekawe są zwyczaje miejscowe, w różnych okolicach w dniu Zadusznym zachowywane, które są zabytkiem przedchrześciańskich czasów. W Kurlandyi i Prusiech składają się na war piwa, kobiety zaś znoszą ryby smarzone i pieczone, oraz inne potrawy. Na Litwie i Żmudzi podczas tych uczt kadzą zbożem, mąką, solą lub kadzidłem — każdéj potrawy po trochu rzucają pod stół, i zlewają nieco trunków.

Żmudzini nadto d. 2 listopada obchodzili na cześć zmarłych obrzęd nazywany *Ilga*. Stawiano tyle stołków, i wieszano na nich tyle koszul, ile osób zaproszono na ucztę, i do łaźni. To święto nazywa się teraz *Dziady*, Po skończonéj uczcie ofiarnik zamiata izbę, wołając na duszyczki: *jadłyście, piłyście, teraz idźcie precz!*

W Czechach, Szlązku —i u nas dawniéj wychodzono d. 1 marca na zgliszcza i przynoszono tam potrawy. Co święto zaś niewiasty szły na groby i rzucały kwiaty.

W Litwie i na Żmudzi i w wielu miejscach Polski trwa dotąd to mniemanie, że w dzień Zaduszny umarli pod przewodnictwem kapłanów zmarłych odprawują żałobne nabożeństwo, że zaś utrzymują, iż i na tamtym świecie umarłym stan ich ma być zachowanym, dlatego dawniéj rzucano w ogień to, co za życia nieboszczyk najbardziéj kochał, np. z książęty i panami: szaty, klejnoty, konie, charty, ogary, ptaki, myśliwskie szable, zbroje, i t. d.

U dawnych Słowian, t. j. narodów, do których pochodzeniem i my należymy, różne obchodzono zwyczaje przy grzebaniu umarłych.

Kładziono z umarłym mężczyzną oręż, nóż, siekierę, krzesiwo, lub monetę jaką, w grobach zaś kobiet igłę czyli iglicę, nici, nożyczki.

Ciała umarłych palono i chowano popioły w urnach na wspólnem zgliszczu; niektóre jednak plemiona grzebały umarłych, np. na Wołyniu. Na mogiłach umarłych zwykle wśród ciemnych lasów, przechodnie rzucali kije i gałęzie. Okładano nadto mogiły kamieniami lub palisadą, zasadzano tam jałowce, świerki i jarzębinę. W niektórych miejscach stawiano urny na słupach przy rozstajnych drogach. Znoszono nadto potrawy na grobowce. Ciało umarłego obmywano wodą w łaźni, ubierano w białą koszulę, i zdrowie jego spijano.

W innych miejscach znowu, gdy zmarłego męża w trumnie wynoszą, żona porywa nowy garnek, rzuca go o ziemię, tłucze i owsem sieje. Tłuczenie garnka oznacza nędzne człowieka życie, które jak glina łatwo się psuje i niszczy— a sianie owsa, iż żona tracąc męża, nie potrzebuje teraz nic, nawet chleba, który miała od nieboszczyka. W innych znowu okolicach kładą na trumnie dwa bochenki chleba, jeden z nich bierze kobieta wymiatająca izbę, drugi dostaje się kapłanowi.

Na Podlasiu u rusinów dziś jeszcze kładą w ręce umarłego kawałek płótna z 2 lub 3 groszami, w trumnie mieszczą święconą bylicę, piołun i flaszkę wódki;—na wierzchu zaś trumny bochenek chleba dla kapłana.

Odbywają uczty żałobne pięć razy do roku: w wigilią Zielonych Świątek, w zapusty przed Wielkim postem, na Wszystkich Świętych i w Wielką sobotę.

Tak samo jak u prostego ludu, obchodzono dawniéj pogrzeby u mieszczan uboższych—jednak tu towarzyszą już im bractwa, uczty, a często muzyka. Obrzędom pogrzebowym obecnemi bywały dzieci ubrane w bieli, ustrojone w kwiaty—przy chowaniu zaś *dziewic*, rowiennice kładły na trumnie wieniec, ścielono nadto drogę kwiatami,— strojono niemi światło żałobne, i rzucano w grób kwiaty, razem z tą, która jak one prędko skwitła i uwiędła w życiu.

Pogrzeby szlachty i panów, z wielką okazałością obchodzono, np. pogrzeb Józefa Potockiego hetmana i kasztelana w dniu 19 maja 1751 r. w Stanisławowie odbyty: było na nim 10 biskupów i suffraganów, 60 kanoników, 1275 księży katolickich.

Gdy zaś chowano ciała królów, składano je naprzód na katafalku, wjeżdżał rycerz w zbroi cały, na koniu, a wpadłszy kruszył berło o katafalk— za nim czyniło pódobnież pięciu innych z koroną, jabłkiem, mieczem, dzirytem i kopią, (*) a to wszystko wśród odgłosu dział, trąb i cymbałów.

Całun żałobny z ponsowym krzyżem bywał na pogrzebie królewskim, dworscy mieli 6 sznurów u niego.—Prowadzono przed ciałem konie paradne z mieczem, łukiem i kołczanem (**), ry-

(*) Kopia rodzaj lancy.
(**) Kołczan albo sajdak, w którym strzały noszono.

cerze wpadali do kościoła konno, kruszyli oręż na znak żalu, i trumna się zapadała.

Żałoby w rozmaity sposób noszono dawniéj. Śmierć królów rozciągała żałobę na kraj cały. Po śmierci Bolesława Wgo czyli Chrobrego,— Zygmunta 1go Królów Polskich obchodzono żałobę przez rok cały.— Kolor czarny stał się właściwym żałobie.— Kobiety starsze całe okrywały się w czerni z kapturami, młodsze zaś nosiły krepę od głowy aż do ziemi spadającą lub na rękę zarzuconą.

W mieście tutejszém dzień Zaduszny obchodzony bywa najuroczyściéj w kościele ś. Karola Boromeusza na Powązkach. Liczne rodziny udają się w dniu tym na cmentarz, i tam na grobach ojców, matek, braci i siostr swoich składają modły za spokój ich duszy.

Dwa dziady.

Po nieszporach, w dzień świąteczny
Pleban ze wsi wyszedł w pole...
A był bardzo już stateczny,
Gęste marszczki miał na czole.
Obyczaj był jego taki,
Że jak w polu spotkał człeka,
Do rozmowy zaraz jakiéj
Lubił wciągnąć go zdaleka.
Po nieszporach właśnie teraz
Na gościńcu spotkał dziada—
Że widywał go już nieraz,
Więc go z góry tak zagada:
„Byłeś, dziadku, dziś w kościele,
„Miałeś uszy ku słuchaniu,
„To mi powtórz mało wiele,
„Co tam było na kazaniu.“

DZIAD.

O jałmużny, dobrodzieju!
O jałmużny wszystko było.

KSIĄDZ.

A więc powtórz mi koleją
Coć się lepiéj w pamięć wbiło.

DZIAD.

Otóż mówił tak dobrodziéj,
Że kto dziada wypchnie z proga,
Taki każdy człek jest złodziéj
We spiżarni Pana Boga;
Bo w niéj każda jesień złoży
Tyle chleba!... tyle chleba!...
A na skibę, wszak deszcz Boży
I dla biednych pada z nieba.
Więc tam cząstka jest w tym chlebie
Starca, wdowy i sieroty;
Kto tę cząstkę wziął dla siebie,
Bóg mu weźmie pokój złoty;
Bo już wiecznie będzie dłużny
Jezusowi taki człowiek,
Co odmówił raz jałmużny,
I łez nie chciał otrzeć z powiek.

KSIĄDZ.

I cóż daléj?

DZIAD

Daléj było,
Że takiego niema człeka,
Coby nie mógł wspierać braci,
Chociaż nawet jest kaleka,
Chociaż nogę, rękę straci.
Pomyślałem wtedy sobie:
„Ja, com w bitwie rękę stracił,
„Cóż dla moich bliźnich zrobię,
„Żebym niebu się wypłacił?“

Ksiądz na takie zapytanie,
Jakieś mądre rzeczy prawi,
A wtem, jak na zawołanie,
Drugi—ślepy dziad się jawi.
Kijem szuka sobie drogi
I tak wlecze się nieśmiało—
O kamienie potłukł nogi,
Ran i znaków ma niemało.
Lira, płaczka bolejąca,
Z niedołężnych ramion spada,
Z klekotaniem głuchem trąca
Boki nieszczęsnego dziada.
Pleban w mądréj głowie roi,
Z jakiéj sobie pocznie strony?

Ten bez ręki dziad, u swojéj
Torby sznurek miał zwieszony.
Koniec tego sznurka kładzie
Pleban w drżącą dłoń ślepemu
I powiada: „Teraz dziadzie!
„Przysługuj się bratu swemu:
„Oczy jeszcze ci zostały,
„A twój bliźni i tych nie ma,
„Więc przez pola, wody, skały
„Wiedź go, wspieraj... choć oczyma.
„A ty ślepy, lirą swoją
„Przewodnika baw, gdzie siędzie —
„Koło serca łzy mu stóją,
„Niech mu płakać łatwiéj będzie."
Poszedł ślepy z przewodnikiem,
I gdzieś znikli w bożym świecie;
A ten, co był pośrednikiem,
Długo cieszył się jak dziecię.....
W pięć lat potem na mogile
Na zielonéj dwa żebraki
W opóźnioną letnią chwilę
Odmówili pacierz taki:
„W swojem niebie, dobry Boże!
„Zapłać słudze gorliwemu,
„Co mówił, że i dziad może
„Jakąś pomoc nieść bliźniemu."

Dobroczynność i wdzięczność

Z. P. D.

Karol syn ubogiego szlachcica na Wołyniu, po odbyciu nauk w Krzemieńcu, szukając powołania, którego obowiązki odpowiadałyby godnie jego chęci stania się użytecznym, obrał sobie chlubny i piękny zawód lekarza. Wkrótce otrzymał stopień doktora medycyny, i wnet nauka jego, a więcéj jeszcze ludzkość i dobroczynność, zaczęły mu zjednywać zaufanie chorych i wziętość w okolicy. Ubóstwo szczególnie tłumnie garnęło się do niego: żadnemu rady nie odmówił, a skoro mógł, i wsparcie chętnie przynosił. Pewnego razu, w dzień niedzielny udał się ze świtem do kościoła, oddać hołd Temu, który całego świata jest lekarzem, zkąd wychodząc, spostrzegł u drzwi świątyni kobietę ubogą, któréj łzy i gorące modły objawiały dotkniętą nieszczęściem istotę. Takiéj nasz lekarz nigdy nie pominął, zbliżył się więc do kobiety, i zapytał uprzejmie o przyczynę jéj smutku. —„Ach! —odpowiedziała łkając.— Bóg dotknął mnie ciężkiem nieszczęściem, mam pięcioro dziatek, a mąż mój, który na nas wszystkich rękami zarabiał, już od trzech miesięcy chorobą złożony, z łóżka ruszyć się nie może."—„Byważ jaki lekarz u niego?"— „Nie bywa— odpowiedziała zapytana— na aptekę pieniędzy potrzeba, a my w ostatniéj nędzy."— „Pokaż mi drogę do twego pomieszkania, biedna kobieto!— rzekł wzruszony lekarz— może mu co poradzę. No-to pojedziemy;" zawołał dorożkarza, wziął kobietę do dorożki i pojechali na przedmieście. W domku, przedstawił się oczom lekarza istotny obraz nędzy; wybadawszy tedy najsamprzód chorego, poznał z radością, że była jeszcze iskierka nadziei uleczenia go;niedostatek lekarstw i posiłku był największą tak długiéj choroby przyczyną.Zapobiegł temu ile możności dobroczynny lekarz, codziennie odwiedzał chorego, codziennie nowym zasilał datkiem,codzień widział go odzyskującego zdrowie, a ciesząc się tak błogim dla serca swego widokiem, myślał jeszcze, jakimby sposobem byt lepszy i utrzymanie zapewnić ubogiéj rodzinie, któréj szczęście wracał?

Wtém zdarzyło się, że pewnemu bogatemu panu jedyne dziecię nagle i niebezpiecznie zachorowało; wezwany doń nasz lekarz, trafnem poznaniem choroby wkrótce przywrócił je do zdrowia, za co wdzięczny ojciec znaczną obiecał mu nagrodę. Ucieszony tym darem, bo podzielić się nim zamyślał, wziął ów ludzki lekarz 12 dukatów z tych pieniędzy, i włożył do osobnego woreczka, poczem o zwykłéj godzinie pojechał do ubogiéj rodziny. Wchodzi i zastaje wszystkich w niezmiernéj radości, niewiasta do nóg mu się rzuca, dzieci całują ręce jego i kolana. Nie wie, co się to ma znaczyć; czy cudem jakim dowiedzieli się o tem, co dla nich uczynić przedsięwziął?— Lecz wnet usta niewiasty oznajmują mu téj radości i dziekczynień przyczynę. Mąż jéj, ojciec tych dzieci, nadzieja ich i szczęście, po tak długiéj chorobie wstał pierwszy raz z pościeli, i dosyć zdrowym się czuje, jemu to uradowana rodzina to szczęście winna, i jakże mu za to dziękować nie ma?— Lecz to powiedziawszy, jeszcze nie ustaje kobieta, pomimo nalegań lekarza, jeszcze całują go dzieci. „Czegóż chcecie odemnie?" pyta

się.— „Ach, chcemy wielkiéj łaski— odpowie z nieśmiałością.—Wiemy dobrze, że wszystkie skarby świata nie mogłyby ci wynagrodzić Panie tego, coś dla nas uczynił; wiemy, że naszych darów nie potrzebujesz, ale uczyń to jeszcze dla nas, i przyjmij...“ i to mówiąc, dobyła z zapazuchy coś owiniętego w szmatę. „Oto jest rubel, dodała,— cały nasz majątek, który od lat kilku, dostawszy w darze od ojca chrzestnego tego dziecięcia, chowałam pilnie; nie gardź nim i przyjmij go Panie!“— „Przyjmij dobrodzieju mój,“ wołał chory, zalewając się łzami wdzięczności. „Przyjmuję chętnie!— odrzekł lekarz, równie rozrzewniony—i tak wysoko ten dar wasz cenię; że go zachowam na wieczną pamiątkę, lecz wy przyjąć musicie to, com dla was przyniósł.“— To mówiąc, oddał najstarszéj dziewczynie woreczek z pieniędzmi.— Tak zobowiązani, przyjęli ten dar wzajemny, którego znaczność aż po jego odjeździe poznali, a który posłużył ojcu rodziny do rozpoczęcia rzemiosła i do polepszenia bytu. Już wiele lat przeszło, już dawno wyjechał ów szlachetny lekarz z Krzemieńca, lecz wdzięczność ku niemu trwa zawsze w sercach rodziny, którą tak wielce uszczęśliwił.

Wiadomości z Fizyki.

II.

Że jest powietrze— o tém bardzo dobrze wiecie, bo go czujecie, niém oddychacie, o niém mówicie. Ale zapewne nie wszyscy wiecie, co jest powietrze? z czego się składa? do czego służy? i jakie ma własności? O tém więc sobie pomówimy.

Powietrze jest *gazem* doskonale przezroczystym, bez smaku i zapachu, słabo błękitnego koloru, pokrywającym ziemię na około warstwą grubą około 9 mil. Tu który z was, czytelnicy moi, może powie, że zgadza się, iż powietrze jest bez smaku i zapachu, ale doda, że i koloru nie ma, bo w przeciwnym razie moglibyśmy powietrze widzieć, tymczasem nikt go nie widzi.— Otóż ja na to mu odpowiem: niech w jasny i pogodny dzień spojrzy w górę, a zobaczy tam to, co w ogóle nazywamy sklepieniem nieba, pięknego, błękitnego koloru.—Otóż sklepienie to jest nic innego, tylko nasze powietrze.— Boć gdyby istotnem było sklepieniem, na niebiesko pomalowaném, wówczas zbliżając się do niego, jaśniéj, wyraźniéjbyśmy je widzieli— tymczasem dzieje się przeciwnie— bo im bardziéj się do niego zbliżamy, im wyżéj się wznosimy, tém sklepienie coraz ciemnieje, coraz niknie i wreszcie zupełnie znika— więc widać, że nie ma żadnego sklepienia; nadto wznosząc się w górę, prócz powietrza, nic innego nie postrzegamy tam, zatem powietrze formuje to niby sklepienie; a że ono (sklepienie) jest koloru niebieskiego, więc i to, co je uformowało, t. j. powietrze, także niebieskiego koloru być musi. Dlaczego zaś niebo wydaje nam się doskonałą półkulą? późniéj to sobie wytłumaczymy, gdy mówić będziemy o świetle i oku.

Otaczające nas powietrze, zwane *atmosferycznėm* składa się z rozmaitych ciał, ze sobą pomieszanych, lecz właściwe, czyste powietrze składa się z dwóch ciał—to jest *kwasorodu* i *azotu* (po polsku saletroród).

Kwasoród jest gazem bez smaku, koloru i zapachu. Ciało to jest najważniejszém w naturze. Żeby nie było kwasorodu, ani rośliny, ani zwierzęta, ani my sami istniećbyśmy nie mogli; żeby nie było kwasorodu, nie mielibyśmy ani ognia, ani wody, ani wielu bardzo wielu innych ciał— jednem słowem: gdyby nie było kwasorodu— świat istniećby nie mógł, a przynajmniéj nie w takim jak teraz kształcie.

Kwasoród to bowiem służy roślinom, zwierzętom i nam do oddychania, bez którego żyćby nie można było, jak to łatwo przekonać się o tem możecie, wkładając jakie zwierzątko lub ptaszka, w naczynie zupełnie ogołocone z powietrza, gdzie zwierzątko to, prawie natychmiast żyć przestaje.— Co to zaś jest oddychanie i jak się odbywa? mieliście już pokrótce wskazane w artykule: *Rozmowa w Saskim ogrodzie*, umieszczonym w Nr. 26 Czytelni Niedzielnéj. Rośliny podobnie jak i zwierzęta, żeby żyły, muszą także oddychać—tylko że one do oddychania w miejsce nosa, mają liście, opatrzone drobniutkiemi dziurkami, któremi wciągają potrzebne sobie powietrze. Poobrywajcie z drzewa jakiego wszystkie liście, a drzewo wkrótce żyć przestanie.

Że zaś do oddychania tylko sam kwasoród jest potrzebny, dowodzi następne doświadcze-

nie: W naczynie jakieś szczelnie zamknięte i napełnione powietrzem, włóżcie np. wróbla —on tam żyć będzie; ale gdy z powietrza w naczyniu będącego, wyciągniecie sam kwasoród— wróbel natychmiast osłabnie i zacznie zamierać; wpuśćcie napowrót sam kwasoród — wróbel odżyje i wyzdrowieje.— Z żadnym zaś innym gazem to doświadczenie się nie uda—bo w każdym innym wróbel żyć przestanie.

Widzicie tedy, że wszystkie rośliny, zwierzęta i wszyscy ludzie oddychają kwasorodem. Tu może który z was pomyśli— a to może z czasem zbraknąć kwasorodu w naturze, kiedy go tyle ciągle i od wieków się zużywa. Otóż nie obawiajcie się tego. Bog, jako najlepszy Ojciec tak wszystko urządził, że nam nigdy tego, tyle potrzebnego ciała nie zbraknie. Patrzcie, jak cudownie mądre jest to urządzenie!

Oto zwierzęta przygotowują powietrze dla roślin, a rośliny nawzajem dla zwierząt. I tak zwierzęta oddychając, wciągają do płuc pewną ilość powietrza, tam przerabiają je stosownie do swojéj potrzeby, i tak przerobione wyrzucają na zewnątrz; ale to wyrzucone powietrze, dla zwierząt zupełnie już nieprzydatne, żywi właśnie rośliny, które, podobnież wciągają je w siebie, żywią się niem, i tak znowu przerobią, że dla nich stanie się nieprzydatnem, ale dla zwierząt znowu najlepszém. I tak dzieje się od wieków, i dziać będzie na wieki.— Tu zaraz macie powód, dlaczego to nam tak zdrowo i przyjemnie znajdować się między drzewami lub na wsi, gdzie wiele jest wszędzie roślin.

Widzicie, jakto jedne twory Boga pracować muszą na drugie.— Bóg dobry urządził to w ten sposób, nietylko dlatego, żeby nam nie zbrakło kwasorodu, ale nadto, żeby pokazać nam piękny wzór urządzania pracy tak, iżby ona przynosząc nam samym pewne korzyści, jednocześnie i dla bliźnich bezkorzystną nie była.

Powiedziałem wyżéj, że bez kwasorodu nie mielibyśmy ognia— i tak jest w istocie. Kwasoród bowiem utrzymuje palenie się ciał, o czém łatwo przekonać się można za pomocą doświadczenia wyżéj opisanego, tylko zamiast wróbla, umieszczając w to naczynie jakieś zapalone ciało, np. świecę.— Po wyciągnięciu kwasorodu z owego naczynia, (co łatwo bardzo się uskutecznia) świeca natychmiast gasnąć pocznie, przed samem jéj zgaśnięciem wpuścić napowrót kwasoród, świeca znowu się rozpala jasnym płomieniem. Doświadczenie to można powtórzyć z każdém innem zapalonem ciałem, a skutek będzie ten sam.— Ale to tycze się tylko kwasorodu, bo ciała te zapalone i zanurzone w innym jakim gazie zaraz gasną.

Na wiadomości, że ciała nie mogą palić się bez kwasorodu polega łatwy sposób gaszenia zapalonych sadzy— dosyć jest albowiem, zatkać tylko szczelnie otwór kominowy nad dach wychodzący, bo wtenczas dym wywiązany z palących się sadzy, nie mając którędy odchodzić, zapełnia cały komin, i nie wpuszcza wdzierającego się tam powietrza z kwasorodem, bez którego sadze palić się nie mogą i gasnąć muszą.

Bez kwasorodu wreszcie, nie mielibyśmy mnóstwa ciał, bez których trudno, a nawet niepodobnaby się obejść. Żebyście to dobrze zrozumieli, trzeba wam wiedzieć, że w naturze jest kilkadziesiąt ciał takich, z których się składają miliony ciał innych. I tak: woda składa się z dwóch ciał t. j. z kwasorodu i innego gazu zwanego wodorodem; witryoléj z kwasorodu i siarki i t. d. Te kilkadziesiąt ciał służących do utworzenia innych; nazwano *ciałami pojedynczemi pierwiastkami*. Jest ich około 70, znaczniejsze są: kwasoród, wodoród, azot, złoto, srebro, żywe srebro (merkurjusz), żelazo, ołów, siarka, węgiel i t. d. W ogóle, ciała pojedyncze są te, które żadnym sposobem nie dały rozdzielić się na dwa lub więcéj ciał różnych.

Wszystkie zaś inne ciała zowią się *złożonemi* i zawsze dadzą się rozdzielić na dwa lub więcéj ciał pojedynczych np. woda da się rozdzielić na dwa gazy t. j. na kwasoród i wodoród, witryol na kwasoród i siarkę i t. d.

Otoż zrozumiecie teraz, że ponieważ kwasoród służy do utworzenia wielu innych ciał, więc gdyby go nie było, i ciała, które on tworzy, istniećby także nie mogły. Do takich należałaby między innemi i nasza woda.

O kwasorodzie dlatego tak obszernie wam opowiedziałem, że on, jak widzieliście, niezmiernie ważnem jest ciałem w naturze.

Teraz przystąpmy z kolei do drugiego ciała wchodzącego w skład powietrza t. j. do azotu.

Azot (saletroród) podobnie jak kwasoród jest *gazem* bez smaku, koloru i zapachu, stanowi główną część powietrza, gdyż na 5 jego części np. kwart, cztery jest azotu, a jedna tylko kwasorodu.

Azot nie utrzymuje palenia się ciał, ani może służyć do oddychania— dlatego ciało zapalone i w niego zanurzone—gaśnie—zwierzę zmuszone azotem oddychać, wkrótce umiera i t. d. Ciało to niełatwo łączy się z innemi, ażeby utworzyć ciało złożone.— Jednak, pomimo téj pozornéj obojętności swojéj, azot niezmiernie ważnem jest ciałem w naturze.

Azot jest koniecznie i niezbędnie potrzebny w pokarmach, pożywanych przez nas i zwierzęta— bo on jest jedną z głównych istot, tworzących nasze ciało.—Trzeba wam bowiem wiedzieć, że ciało tak nasze, jak i zwierząt składa się z rozmaitych ciał pojedynczych, ze sobą połączonych. Ciała te są: kwasoród, wodoród, azot, węgiel, siarka, fosfor, żelazo i kilka jeszcze innych; i że życie, jest to ciągłe przerabienie się jednych ciał w drugie.

Żeby więc człowiek żył, a ciało jego ciągle było w jednakowym stanie dzielności, i nie niszczało, nie nikło, musi koniecznie dokładać ciągle do tegoż ciała to wszystko, co przez życie z niego ubywa.— Robi się to za pomocą pokarmów.—A jakim sposobem pokarmy zmieniają się w nasze ciało?— późniéj o tém pomówimy.

Nauka z podróży.

—

Właściciele i utrzymujący u nas oberże oraz domy zajezdne, nie zawsze i nie wszędzie bacznie pilnują tego, iżby słudzy i domownicy ich wypełniając dawane sobie przez nich polecenia, gościnność i usłużność należną przejeżdżającym okazywali; skąd cudzoziemcy mianowicie nienajlepsze mają wyobrażenie o tak słynnéj zdawna gościnności polskiéj.

Dlatego dla dobra gospodarzy samych, chcę tu mówić o służących i domownikach po domach zajezdnych naszego kraju.

Doznawszy kilkakrotnie niebardzo uprzejmego obejścia się, piszę rzetelną prawdę, razem z życzeniem, aby każdy zawsze i wszędzie mógł śmiało powtórzyć wiersz naszego poety: „Przecie i w polskich karczmach grzeczność teraz w modzie“ (1).

Wracałem do Warszawy słotną i wieczorną porą, przyjechawszy do miasteczka leżącego na trakcie, widziałem z daleka światło w austeryi. Kazawszy człowiekowi, aby zastukał do bramy, usłyszałem głos, *zgaś lampę i nie odzywaj się.*

„Ależ na nas deszcz pada, bo bryczka niekryta,proszę otworzyć. „Nie włóczcie się po deszczu, to nie zmokniecie“ odezwał się głos ze środka. Na tak dzielne i oczywiste przekonanie, że kto siedzi pod dachem, to nie moknie, nie było co odpowiedzieć; więc daléj w pokorne błaganie, aby raczyli otworzyć. Ale gdy to uzuchwaliło jeszcze bardziej siedzących w zamknięciu, silnem uderzeniem kamienia kazałem upomnieć się o należące mi prawo. Po strasznem zaklęciu i półgodzinnem staniu, otworzono z przekleństwem, i zaraz uczuć dano, że niebardzo się cieszono z przyjazdu gościa. „Proszę o stancyę i łóżko.“—„Niema, odpowiedziano mi cierpko.— Może macie co do zjedzenia,rzekłem? „Niema, kto po dziesiątéj godzinie tu kuchnie będzie zakładał? trzeba było w dzień przyjechać; jest wódka i piwo bawarskie.—Nareszcie po długich pytaniach, i zawsze jednéj odpowiedzi *niema*, dostałem brudną stancyjkę i łóżko bez posłania, a zaradziwszy sobie jąk można, udałem się głodny na spoczynek, zamawiając kawę na rano.Mocne trzaśnięcie drzwiami stanowiło odpowiedź. nie wiem, czy odmowną, czy obiecującą.— Lecz wkrótce zmieniła się całkiem osnowa rozmowy. Od moich ludzi zaczęto się dopytywać szczegółów co do mojéj osoby; z większą ścisłością nie bada nikt obwinionego, z jaką moi ludzie pytanymi byli. Kto to jest, jak się nazywa, skąd jedzie, dokąd, za jakim interesem, czy to jego powóz, czy bogaty, czy płaci bez sprzeczki? i t. p. pytania, które się do kilku godzin przeciągnęły .— Ta wrodzona ciekawość wszystkim oberżystom, lubo zaspokojoną została, jednak w niczem nie polepszyła mego położenia.—Spędziwszy zatém noc bezsennie, pożegnałem zrana niegościnne miejsce,dotąd mi nader pamiętne, i teraz w imieniu znużonych podróżą upraszam wszystkich gospodarzy domów Zajezdnych, oberżystów i wszelkich zawiadowców zakładów podobnych, ażeby swoim ludziom polecili grzeczność i uprzejmość dla każdego z podróżnych, żeby ich nie dzielili na klassy, stosownie do powozu lub ilości koni, bo i ten, co bryczką przyjechał, równie jak ten, co karetą przybywa, zasługuje na ludzkie obejście. Uczynek bowiem miłosierny, chrześci-

(1) Odludki i poeta, Komedya Hr. Fredro. Akt 1 scena 2.

jański, ściągający się co do ciała, powiada: *podróżnego w dom przyjmować.*

Są jednak miejsca, gdzie ludzie w tym względzie są bardzo delikatni, uprzejmością swoją zniewalają każdego, i ofiarują we wszystkiem usługi, starają się uprzedzić każdego żądanie, niemal myśl odgadnąć. Tem jednają sobie podróżnego, aby i na drugi raz nie minął ich domu. Szybką usługą starają się zaraz po przyjeździe, bez mówienia, dostarczyć wszystkiego, co spoczynek wymaga. Nietylko sam podróżny ale ludzie mu towarzyszący, powóz i konie doznają gorliwego starania. Nie ma tam ani rażącego brutalstwa, ani zuchwałéj odpowiedzi, ale zawsze familijne i delikatne przyjęcie. Trudno gburowatém obejściem oddawać wet za wet, ale nierównie trudniéj znosić brutalskie odpowiedzi lub niesmaczne dowcipkowanie osób bez wychowania i znajomości praw towarzyskich.—To też grzeczniejsi przez swą usłużność daleko lepiéj wychodzą.

Nie wymieniłem miejsca ani osób, choć istotnie obejście się ze mną nie zasługiwało na żadne względy; niech to publiczne zawstydzenie będzie dostateczną karą dla poczuwających się do winy, i skłoni wszystkich gospodarzy zajazdów i oberż do troskliwszego baczenia na sługi, aby lepiéj ich polecenia wypełniane były, a tych ostatnich, jako dobrowolnie przyjmujących na siebie obowiązek służenia drugim, do grzeczności koniecznéj.

Przy téj okoliczności ośmielam się zanieść małą prośbę do gospodarzy.

Niech albo usuną te szumne napisy: *Dom zajezdny, stancye wygodne, wszelkie trunki i jedzenia w każdym czasie*, albo niech choć w części dotrzymają tego, co wystawiają jako wabik na ufających i łatwowiernych podróżnych.

Już dawno jeden praktyczny człowiek, nazwiskiem Walter-Skot, wyszydził te niedorzeczne zapraszanie, mówiąc w swéj książce.

Nie!— przysięgam! przysięgam! to potwarz bezbożna!
To są niegodne kłamstwa! Czy w mojéj gospodzie
Pieczeń ma być tak twarda, że jéj zgryść nie można?
A podróżny ma przestać na chlebie i wodzie?
Zgubi mnie i zabije ta potwarcza mowa.
Nie wierzcie jéj! niech każdy znak nad domem czyta,
Dobry stół, dobre wino; a ufny w te słowa
Pewno śmiało do mojéj gospody zawita.

Nagrobek X. J. Czarnockiego.

—

Niedawno, mili czytelnicy, mówiłam wam w niniejszém pisemku, o księdzu Janie Czarnockim, niegdyś wikarym przy kościele Sokołowskim, co w czasie cholery w roku zeszłym, poświęcając się dla dobra bliźnich, padł ofiarą téj strasznéj zarazy! Wspomniałam również i o pomniku, który z dobrowolnych ofiar wdzięcznych parafian miał ozdobić jego grobowiec.— Otóż dziś jestem w obowiązku donieść wam, mili bracia moi, że już stanął piękny krzyż żelazny na mogile jego w zamian różnobarwnych kwiatków, rękami samych Sokołowa mieszkańców pielęgnowanych.— Skromny jego napis tak przemawia do przechodnia, co popioły szanowne przyszedł uczcić modlitwą:

„Mieszkańcy parafii Sokołów ukochanemu swemu księdzu wikaremu ś. p. Janowi Czarnockiemu.“

Urodzony d. 10 października 1828 roku, umarł d. 30 lipca 1855 roku.

W rocznicę zgonu księdza Jana, to jest dnia 30 lipca, ksiądz proboszcz Sokołowski, pamiętny położonych przez niego zasług i wspólnych prac z nim podejmowanych, odprawił za duszę jego żałobne nabożeństwo, zaprosiwszy na nie sąsiednich księży.— Napełnił się skromny kościołek parafianami, żałującymi dobroczyńcy swego, rozległ łkaniem, gdy następca księdza Jana, dzisiejszy wikary, wymownemi słowy wspomniał cnoty zmarłego i śmierć jego w skutek ofiar dla ubogich braci poniesioną, przywiódł im na pamięć.— I to nabożeństwo zakończyło poświęcenie pomnika, który stojąc nie opodal kościołka, widziany od każdego wchodzącego do świątyni przychodnia, w odległe lata przywodzić będzie pamięć pasterza, o którym z pismem świętem wyrzec możemy: „Oto kapłan wielki, który za dni swoich podobał się Bogu, i znalezion jest sprawiedliwym.“

Cóż więcéj mam wam tu dodać, mili czytelnicy moi? Oto życzę sobie i wam z czasem takiego grobowca, któryby miłość bliźnich wzniosła na znikomych popiołach naszych, i podobnemi uświęciła słowy!

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 18 (30) Października 1856 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*